

Wyruszyliśmy na objazdówkę po Bałkanach żądni wrażeń, spragnieni poznawania tego tajemniczego zakątka Europy, by skonfrontować z rzeczywistością wszelkie stereotypowe opinie o poszczególnych krajach. Przed nami było do odwiedzenia 9 państw, do przejechania ponad 6000 kilometrów, do spędzenia 23 dni w drodze. Dłuższy pobyt planowaliśmy jedynie w Bułgarii, by odpocząć na złotych piaskach Morza Czarnego po kolejnym roku ciężkiej pracy i trudach drogi dojazdowej przez Słowację, Węgry i Rumunię, którą też chcieliśmy poznać bliżej, zwłaszcza Transylwanię z miejscami związanymi z Draculą.

---

Z Bułgarii zamierzaliśmy udać się na krótki wypad do tureckiego Stambułu, by po raz pierwszy stanąć na azjatyckiej ziemi. Z kolei droga powrotna do domu miała być nie tą najkrótszą, ale tą najbardziej intrygującą, a więc przez Macedonię, Albanie, Kosowo i Serbię, na co przewidzieliśmy około tygodnia czasu. Zwiedzając poszczególne kraje coraz bardziej rozumieliśmy znaczenie słów „bałkański kocioł”, ale o tym będzie więcej w szczegółowych relacjach z każdego państwa.

Z racji, że Słowację i Węgry poznaliśmy dobrze podczas naszych poprzednich wyjazdów, tym razem potraktowaliśmy je jedynie jako kraje tranzytowe. Wyjechaliśmy z Kielc naszą Hondą CRV dość późno, gdzieś koło 13.00, bo do ostatniej chwili załatwialiśmy sprawy przed dłuższym urlopem, a to ubezpieczenie, a to niezbędne zakupy. Nie musieliśmy się śpieszyć, bo nasz plan przewidywał szukanie noclegu w miejscowości do której dotrzemy o jakiejś przyzwoitej porze. Droga przez Polskę nie należy do szybkich i przyjemnych, dlatego gdy tylko dojechaliśmy na Słowację, odetchnęliśmy z ulgą i nabraliśmy powietrza w płuca przed dalszą podróżą. Nie wiadomo kiedy byliśmy już na Węgrzech.

Pierwszy nocleg mieliśmy w Debreczynie, do którego udało nam się dojechać pierwszego dnia około 9 wieczorem. Znaleźliśmy przytulny pensjonat, do którego doprowadził nas drogowskaz na ulicy dojazdowej do centrum. Rankiem wyruszyliśmy w kierunku rumuńskiej granicy, gdzie należy wykupić przynajmniej tygodniową winietkę za 3 euro. Przejechaliśmy przez zachmurzoną Oradeę podczas mżawki, która skutecznie nas zniechęciła do poznania tego miasteczka bliżej.

Jechaliśmy dalej w kierunku Sighisoary, rodzinnego miasta Draculi, które chcieliśmy zwiedzić nawet mimo deszczowej pogody. Zanim tam jednak dotarliśmy oglądaliśmy małe miejscowości po drodze, które wyglądały na dość zadbane, nie było tam - opisywanych przez wielu podróżników po Rumunii - drewnianych chat, biednych, wałęsających się dzieci czy dziurawych dróg. Przeciwnie domy były przede wszystkim murowane, kolorowe, ludzie zwyczajni, niewielu Cyganów, droga całkiem niezła. W jednym z miasteczek kupiliśmy na przydrożnym straganie świeże owoce, w tym przesmaczne morele i winogrona.

Przed Verdeni zatrzymaliśmy się na chwilę, by obejrzyć stojący naprzeciwko kościoła pomnik bohaterów z orłem na topie, obok którego ustawiona była armata z zatknięta rumuńską flagą. Z kolei w Huedin podziwialiśmy cygańskie pałace, kolorowe, pełne przepychu, ornamentów i nadmiernego zdobnictwa. W Chendu natomiast ciekawie wyglądały pastelowe, parterowe domki ze starą dachówką w kształcie rybiej łuski. Cała miejscowość wyglądała jak zadbane, wiejski skansen.

Nasza trasa prowadziła przez Cluj-Napoca - stolicę Siedmiogrodu i Targu Mures, ale ze względu na rzęsy deszcz odpuściliśmy sobie zwiedzanie tych miejscowości. Gdy dojechaliśmy do Sighisoary, ufortyfikowanego średniowiecznego grodu, wpisanego na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO, który koniecznie chcieliśmy zobaczyć bliżej, na szczęście niebo na krótko przejaśniło się.

To tutaj Vlad II o przydomku Dracul (Diabeł), księżę Wołoszczyzny, bił w XV wieku monety oraz wydał pierwszy dokument zawierający rumuńską nazwę miasta *Sighișoara*. Spłodził on syna Vlada III Tepesa (Palownika - od wbijania ludzi na pal) zwanego też Draculą (Draculea - syn Diabła), będącego pierwowzorem krwio pijczego wampira, bohatera książki Brama Stokera "Drakula", wydanej w 1897 roku. Na podstawie tej powieści nakręcono też kilka filmów jak słynny „Nosferatu wampir” Wernera Herzoga z 1979 roku czy „Drakula” Francisa Forda Coppoli z 1992.

Młody Vlad był w niewoli u Turków jako zastaw gwarantujący lojalność jego ojca. To zapewne tam naoglądał się okrutnych metod karania ludzi przez wbijanie ich na pal, co sam zaczął robić jako władca Siedmiogrodu, po śmierci swego ojca. W Sighisoarze można dzisiaj obejrzyć m.in. dom, w którym mieszkał okrutny gospodar wołoski.

Przechadzając się średniowiecznymi uliczkami Sighisoary, nie sposób nie zwrócić uwagi, że najstarsza część miasteczka jest XIV-wieczną twierdzą z licznie zachowanymi bramami miejskimi. Niezwykle tajemniczo wygląda też zabytkowy cmentarz niemiecki obok gotyckiego kościoła ewangelickiego, zwanego też Kościołem na Wzgórzu (Bergkirche). Nie chcielibyśmy tam zostać na noc, bo patrząc na porośnięte, stare grobowce mieliśmy wrażenie jakby to były groby ofiar Drakuli. Ale to oczywiście tylko nasza nadmierna wyobraźnia.

Symbolem miasta jest Wieża Zegarowa wysoka na 64 m, wzniesiona w 1556 roku, w której mieści się obecnie Muzeum Historyczne. Ciekawie wygląda też Prawosławna Katedra Trójcy Świętej z lat 30. XX wieku, zwłaszcza oglądana z twierdzy na wzgórzu.

Spędziliśmy w Sighisoarze kilka godzin i dopiero deszcz wypłoszył nas do samochodu. To tutaj przez dłuższy czas osłuchaliśmy się języka rumuńskiego, który jest niesamowicie podobny do włoskiego, co nie jest

takie dziwne, gdyż należy do tej samej, romańskiej rodziny językowej. Tu również po raz pierwszy natknęliśmy się na palinkę, czyli miejscowy, owocowy biber ze śliwek lub innych owoców.

Jadąc dalej po krętych górskich drogach Transylwanii, mijając między innymi zamek na wzgórzu koło miejscowości Rupea, dokonaliśmy zakupu butelczyny palinki i owczego sera u przydrożnej handlarki, jak się wieczorem okazało, gdy dokonywaliśmy ich testowej konsumpcji, był to całkiem dobry zakup. Niestety wyszukany przed wyjazdem w Internecie tani nocleg okazał się niewypałem, bo pod wskazanym adresem istniał blok, a w mieszkaniu o podanym numerze nikt nie otwierał. Nocleg znaleźliśmy w pensjonacie w Braszowie, nie był zbyt tani, ale za to komfortowy.

Następnego ranka przespacerowaliśmy się krótko po mieście, by wyruszyć potem w dalszą drogę w kierunku Rasnov. Znajduje się tam na wzgórzu chłopski zamek, zbudowany przez mieszkańców pobliskich wiosek na pozostałościach dawnego zamku krzyżackiego. Ale nas bardziej pociągał zamek w Bran, który dzięki książce Brama Stokera uchodzi za siedzibę Draculi, choć sam Vlad Tepes, podobno nigdy tu nie mieszkał, a jedynie spędził w nim kilka dni jako więzień. Zamek ten za to od 1920 roku pełnił funkcję letniej rezydencji rumuńskiej królowej Marii.

Obecnie zamek jest chyba jedną z większych atrakcji turystycznych Rumunii i przewija się tu tłum turystów. Dookoła są wszechobecne stragany, oczywiście z pamiątkami z wizerunkiem wampirycznego Drakuli. Mimo tego, warto tu zajrzeć, bo zamek ma ciekawą architekturę, jest świetnie zachowany, istnieje w nim Muzeum Historyczne, gdzie można poznać między innymi prawdziwą opowieść o losach Vlada III, pana Wołoszczyzny.

Z Bran zmierzaliśmy w kierunku Pitesti, a stamtąd w kierunku Bukaresztu. Zaczęły się serpentyny i piękne, górskie krajobrazy. Droga się ciągnęła w nieskończoność, ale było co podziwiać. Po trasie zatrzymaliśmy się jeszcze niedaleko miejscowości Campulung, gdzie przy samej szosie znajduje się mauzoleum żołnierzy poległych w latach 1916-1918. Samo miasteczko Campulung, w którym także zrobiliśmy sobie krótki postój, prezentowało się całkiem atrakcyjnie, z wieloma secesyjnymi budynkami pamiętającymi chyba jeszcze czasy Austro-Węgier. Zapamiętaliśmy też stamtąd ładne fontanny przed ratuszem.

Od Pitesti zaczęła się autostrada, którą szybko dojechaliśmy do stolicy Rumunii. Ze względu na nasze plany dotarcia jeszcze tego samego dnia nad Morze Czarne, do Constanty, mieliśmy ograniczony czas na zwiedzanie Bukaresztu. Postanowiliśmy jedynie zobaczyć Pałac Parlamentu, jeden z największych budynków na świecie, wybudowany na życzenie komunistycznego dyktatora Rumunii Nicolae Ceaușescu, jako spełnienie jego chorych ambicji zrobienia z Bukaresztu drugiego

Paryża.

Za czasów rządów Nicolae Ceaușescu, znaczna część historycznego centrum została wyburzona, a na zgliszczach starego miasta powstały budynki rządowe oraz wielkie bloki mieszkalne w socrealistycznym stylu. Od Pałacu poprowadzono reprezentacyjną aleję B-dul Unirii, która według założeń miała przewyższać swoim architektonicznym rozmachem słynne, paryskie Pola Elizejskie. Co ciekawe Ceaușescu kazał wybudować też - w tajemnicy przed ludem - sieć podziemnych tuneli dostępnych tylko dla samochodów dyktatora i jego rodziny, tajną linię metra o długości 10 km oraz czteropiętrowy schron atomowy pod Pałacem, w którym wówczas urzędował. W 1989 roku na fali protestów doszło do obalenia reżimu komunistycznego w Rumunii, a dyktatora i jego rodzinę pośpiesznie osądzono i rozstrzelano.

Przed Pałacem dzisiaj na trawie relaksują się mieszkańcy Bukaresztu, jakby starając się zapomnieć o ponurych czasach i historii tego obiektu, który najpierw zamierzano zburzyć, ale na szczęście potem postanowiono przeznaczyć go na siedzibę demokratycznie wybranego Parlamentu. Dzięki temu można go nadal podziwiać, choć należy przy tym pamiętać jakim kosztem go kiedyś zbudowano.

Po tej krótkiej lekcji najnowszej historii ruszyliśmy w kierunku Morza Czarnego. Autostrada kończyła się w Fetesti, gdzie z kolei trzeba było zapłacić 10 lei za przejazd mostem nad Dunajem. Wjechaliśmy też na chwilę do miasteczka, by coś zjeść i zatankować auto, ale to nie jest raczej turystyczny kurort i mieliśmy nie lada problem ze znalezieniem zwykłej restauracji. Na głównej ulicy po raz pierwszy w Rumunii spotkaliśmy się z żebrakami na chodnikach, biedą, bałaganem i włóczącymi się cygańskimi dziećmi, które nas otoczyły prosząc o drobne. Oj przydałby się tu srogi pan, który zrobiłby z tym porządek. Taką Rumunię znaleźliśmy z opowieści i niestety przez te obrazki z Fetesti nasze osobiste - jak dotąd pozytywne wrażenia - zostały szybko zweryfikowane.

W niedługo potem dojechaliśmy do Constanty, gdzie ta weryfikacja postępowała dalej. Miał to być najbardziej znany kurort w Rumunii i może takowym jest, ale do Sopotu mu jeszcze bardzo daleko. Wszędzie widać architektoniczny nieład, mnóstwo obdrapanych budynków, żebrzące dzieciaki, nawet późnym wieczorem. Jakby czas się tu zatrzymał w latach 70-tych minionego wieku. Zjedliśmy jakąś pizzę w takiej sobie knajpcie i zamierzaliśmy się rozejrzeć za miejscem naszego dzisiejszego noclegu.

Gdy tak sobie wieczorem spacerowaliśmy po miasteczku, jakby widząc naszą potrzebę, zaczęli nas od razu zaczepiać podejrzani łapacze od tanich, ale raczej niepewnych kwater. Czym prędzej więc udaliśmy się do widocznego nad morzem hotelu Ibis, gdzie wzięliśmy pokój z widokiem

na morze na 5 piętrze. Koszt jakieś 55 euro za 3 osoby, bez śniadania. Trochę drogo, ale wizja szukania noclegu po zmroku w tej ponurej miejscowości nie pozostawiała nam wątpliwości co do podjętej przez nas przed chwilą decyzji.

Rankiem podziwialiśmy z okien widok na morze i plażę, na której widać było połamane parasole, nieład i resztki betonowych zabudowań z minionej epoki. Mimo wszystko wyszykowaliśmy się na plażowanie i pierwszą kąpiel w Morzu Czarnym, które wyglądało całkiem normalnie, to znaczy niebiesko. Niestety nim zdążyliśmy zjechać hotelową windą na dół i zrobić parę kroków od wyjścia, zaczął padać deszcz, który po raz kolejny popsuł nam nasze plany. Trochę poirytowani wróciliśmy do pokoju, by się spakować i szukać lepszej pogody w drodze do słonecznej Bułgarii.